

A f r y k a W s c h o d n i a



Czas trwania naszej wyprawy: 13 sierpnia - 8 września 2003

Uczestniczyły 4 osoby: Bartek, Krzysiek, Olo i ja.

Katowice - Warszawa - Nairobi - Meru - Samburu National Park - Nairobi

Może się to wydać dziwne, ale przed tym wyjazdem praktycznie nie poczyniliśmy żadnych specjalnych przygotowań. Każdy z nas miał już na swoim koncie wszystkie wymagane szczepienia, lek na malarię i tabletki na podstawię papierów z Ministerstwa Zdrowia sprowadziła nam apteka, bilety na samolot w cenie 766 USD kupiliśmy w zaprzyjaźnionym biurze podróży i tyle... 11 sierpnia spakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy do mojego auta i całą czwórką pojechaliśmy do Warszawy - do Aśki, u której zostaliśmy na noc, zaliczając przy tym małą pożegnalną imprezę (wielkie dzięki Asiu). W południe samolotem British Airways poleciliśmy do Londynu, skąd po kilku godzinach czekania odlecieliśmy do stolicy Kenii - Nairobi. Lot trwał 8 godzin - różnica czasu wyniosła +1 godzinę w stosunku do czasu polskiego, także bez żadnego „jetlaga” i nawet wyspani, wcześnie rano ustawiliśmy się w kolejce po wizę, którą za 50 USD wbili nam do paszportów.

Będąc jeszcze w Londynie poznaliśmy trójkę warszawiaków, którzy tym samym samolotem co my lecieli do Kenii. Ponieważ jak twierdzili mieli w Nairobi swojego człowieka, który po nich miał wyjechać i na miejscu zorganizować parę rzeczy, postanowiliśmy się do nich przyłączyć. Z lotniska faktycznie odebrał nas Ojciec Francis i zawiózł do położonego około 300 km na północ od Nairobi Meru.



Słoń

Jak się później okazało chłop miał sporo dobrych chęci, ale wszystko było na miejscu improwizowane i zaczęło nam pochłaniać niebezpiecznie dużo cennego czasu. Dość powiedzieć, że w ciągu 3 pierwszych dni nie zobaczyliśmy wiele (nie licząc kilkunastu misji), w związku z czym nasza czwórka zaczęła realnie myśleć nad szybkim odwrotem i realizacją pierwotnych zamierzeń. W końcu jednak udało się nam z wielkim trudem zorganizować dwudniowe safari i na czwarty dzień popędziliśmy (dosłownie) mocno sfatygowanym Land Cruiserem do Parku Narodowego Samburu. Muszę sobie jednak tutaj pozwolić na małą dygresję. Otóż nie warto samemu organizować safari. Szkoda czasu i pieprzenia się, osiągając groszowe oszczędności w stosunku do profesjonalnie zorganizowanego safari w wyspecjalizowanej agencji turystycznej. Tymczasem stajemy przy bramie wjazdowej do parku i załatwiamy resztę formalności i wnosimy należne opłaty za każdy dzień pobytu w parku, nocleg, za każdego uczestnika oraz kierowcę i przewodnika. Trwa to dłuższą chwilę, bo lista płatności robi się całkiem spora, w dodatku część opłat wnosimy w lokalnych pieniądzech, a część w dolarach. W końcu wjeżdżamy do parku. Pierwsze afrykańskie zwierzę jakie widzimy to słoń. Potem są jeszcze żyrafy, różnego rodzaju antylopy, pawiany, zebry i przeróżne ptaki. Zwierzęta są na tyle przyzwyczajone do obecności człowieka, że nie boją się ani ludzi ani samochodów i są wręcz na wyciągnięcie ręki.

Sam park krajobrazowo jest bardzo ładny, otoczony niezbyt wysokimi górami, z całkiem sporą rzeką, nad którą kąpią się słonie i pływają krokodyle. Wszystko wygląda niezwykle



malowniczo, a ilość i różnorodność zwierzyny robi ogromne wrażenie. Pod wieczór w końcu udaje nam się „złapać” lwa, który w błysku fleszów aparatów fotograficznych leniwie przechadza się między jeepami. Jednak nie wszystko wygląda tak pięknie - nasz kierowca dostaje ataku malarii i praktycznie pół dnia i całą noc jest wyłączony z życia. W dodatku nasz Land Cruiser ma kłopoty z chłodzeniem silnika i co chwilę musimy mu wlewać wodę do chłodnicy.



Termitiera

Ale są i plusy do których bez wątpienia należy nasza przewodniczka - młodzietka, bardzo ładna dziewczyna Alice, od której wieczorem przy ognisku sporo dowiadujemy się o Kenii i w ogóle o Afryce. W kolejnym dniu jeździmy znów cały dzień po parku i praktycznie spotykamy znów te same zwierzęta. Bardzo miłym przerywnikiem jest wyciąganie z piasku naszego zakopanego jeepa, który okazało się, że ma tylko napęd na tylnie koła (przedni był zepsuty).



Żyrafy

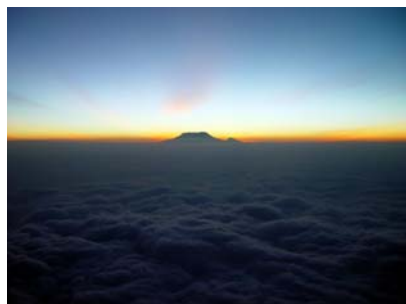
W końcu wieczorem wracamy do Meru, co jakiś czas uzupełniając wodę w chłodnicy. Po drodze zatrzymujemy się w jakimś typowym lokalu z żarciem dla tubylców, w którym posiłki kupuje się na kilogramy (kupiliśmy na 9 osób 3 kg koziego mięsa z ziemniakami). Co ciekawe żarcie jest tańsze od piwa. W Meru nocujemy w jakiejś misji, w której nocleg wraz z posiłkiem kosztuje aż 10 USD. Wcześniej rano wracamy minibusem zwanym w Kenii matatu do Nairobi (300 KS od osoby), skąd od razu jedziemy płacąc trzykrotna stawkę za bilety do Tanzanii do Arushy. Oczywiście zostaliśmy ewidentnie oszukani co jest wręcz chlebem powszednim w panujących tutaj relacjach czarno-białych. Oczywiście nie byliśmy tutaj bez winy, ale wiadomo człowiek uczy się na błędach (popełniliśmy je jeszcze później w sumie tylko 2 razy).

Arusha - Mt. Meru (4630 mnpm) - Arusha

Granicę Kenijsko - Tańzańską przechodzimy bez bólu choć formalności i petentów jest sporo. Dostajemy jednorazową wizę w cenie 20 USD (płatne w dolarach) i ulotkę zachwalającą turystyczne walory Tanzanii. Plecaki nie wiedzieć czemu każą oddać nam do



kontroli, która jest fikcją - gruba murzynka stawia tylko na nich kredą jakieś znaczki. W końcu ruszamy dalej. W pewnym momencie nasz autobus się zatrzymuje by ustąpić drogi żyrafom, które najspokojniej w świecie przechodzą sobie jezdnie. I to nie po zebrach! Już w nocy dojeżdżamy do położonej u stóp Mt. Meru Arushy gdzie autobus pod Novotelem kończy swoją trasę (wszystkie busy z i do Kenii zatrzymują się pod Novotelem). Dobrze, że zatrzymaliśmy się w miejscu ogrodzonym z czterech stron płótnem bo chyba by nas przeróżni naganiacze zjedli, a już na pewno by się o prawa do nas (czyt. złupienia nas) pobili.



Wschód na Kili

Okazuje się jednak, że ktoś z agencji, w której kupowaliśmy bilety na autobus dał cynk komuś z Arushy, także zostaliśmy od razu zapakowani do dala dala (tanzański odpowiednik matatu) i pojechaliśmy najpierw wymienić pieniądze, a potem do hotelu. Oczywiście kierowca od razu chciał nas ulokować w swoim hotelu, załatwić nam wejście na Kili i w ogóle nie wzbudził naszego zaufania. Żeby się go pozbyć zatrzymaliśmy się w pierwszym lepszym hotelu. Mimo to facet się nie odczepił od nas i jeszcze pół nocy łąził za nami i zatruwał nam życie. Gdy w końcu dał za wygraną, przysiadł się kolejny. Mimo, że tym razem facet gadał dość konkretnie spławiliśmy go na następny dzień i poszliśmy spać.



Mt Meru

Mogło by się to wydawać niemożliwe ale ten sam facet rano już czekał na nas pod hotelem i w końcu w knajpie przy śniadaniu od słowa do słowa stanęło na tym, że zabraliśmy się z nim do biura **Victoria Expeditions**. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że wejścia na Kilimandżaro można dokonać tylko poprzez którąś z licencjonowanych agencji turystycznych. Wejścia indywidualne nie istnieją. W Victoria Expeditions siedzieliśmy bitą godzinę negocjując warunki wyprawy na Kilimandżaro. Chyba wszyscy byliśmy zadowoleni z kontraktu, który zawarliśmy: za 745 USD od głowy (pierwsza cena 840 USD) mieliśmy 4 noclegi w bardzo przyzwoitym hotelu Meru Inn, przejazd tam i z powrotem do bram Parku Narodowego Arusha, w którym w 3 dni mieliśmy zrobić wejście aklimatyzacyjne na Mt. Meru, całą sześciodniową wyprawę na Kilimandżaro wraz przewodnikiem i asystentem przewodnika, dwoma tragarzami i kucharzem, oraz na deser dwudniowe safari w dwóch różnych parkach narodowych: Maniara National Park i Ngorongoro National Park. Jak się później okazało biuro bardzo rzetelnie wywiązało się ze wszystkich ustaleń także byliśmy bardzo zadowoleni.



Rankiem zawieziono nas do Momela Gate, czyli bramy wejściowej u stóp Mt. Meru, gdzie po załatwieniu wszystkich formalności i wniesieniu odpowiednich opłat za trzydniowy trekking (w sumie od osoby 150 USD wraz z napiwkami dla rangera) przydzielono nam Isacka - naszego strażnika - przewodnika. Trzygodzinną trasę do pierwszego schroniska Miriakamba Hut (2514 mnpm) pokonujemy z jednym krótkim postojem zgodnie z planem, w towarzystwie żyraf, zebr i olbrzymich stad bawołów. Teraz rozumiemy czemu jest z nami uzbrojony przewodnik. Znajdujemy się w jedynym parku narodowym, w którym chodzi się na piechotę między dzikimi zwierzętami.

Podczas naszego wejścia na Mt. Meru nie wynajęliśmy ani tragarzy, ani kucharza, zdając się jedynie na siebie i niosąc wszystko ze sobą (jako jedni z nielicznych), oczywiście w celu obniżenia kosztów. Nawet kupioną w Arushy naftę do gotowania w górach Olo zapakował do swojego plecaka (graliśmy tradycyjnie w marynarza kto weźmie). Nasze w sumie nietypowe zachowanie wzbudziło widocznie uznanie wśród obsługi schroniska Miriakamba, do tego stopnia, że szef schroniska zrobił specjalnie dla nas pyszną kartoflankę i do tego nie chciał żadnych pieniędzy!!! Po prostu niebywałe. Chyba ta nafta i nasze gotowanie na specjalnej schroniskowej kuchence zrobiły na nim wrażenie. W kolejnym dniu osiągamy w trzy godziny Saddle Hut (3570 mnpm). Droga praktycznie cały czas biegnie wiecznie zielonym deszczowym lasem. Po drodze mamy możliwość zobaczenia kilkunastu antylop i niesamowitej wprost roślinności. Wypijamy dostępne w schronisku w cenie 3000 szylingów piwo, po czym wychodzimy na Little Meru (3820mnpm). Wieczorem jemy skromną kolację i idziemy na krótko spać. Już o 1:30 w nocy mamy pobudkę, a w pół godziny później wyruszamy na szczyt. Jest pogodna noc (jesteśmy ponad chmurami), świeci księżyc, idzie się całkiem nieźle. W połowie drogi wbijamy się w bardzo sypki i stromy popiół wulkaniczny, także idzie się o wiele gorzej. Robi się też zdecydowanie chłodniej i zaczyna dużo mocniej wiać. Olo w ogóle odpadł, dopadła go choroba wysokościowa, my tymczasem powoli ale systematycznie pniemy się w górę aż po 4 godzinach równo ze wschodem słońca osiągamy szczyt Mount Meru 4566 mnpm.



Krater

Widok z góry jest wspaniały: pod nami morze chmur, a przed nami pierwsze promyki słońca, które leniwie zaczynają się przebijać zza... Kilimandżaro! Nareszcie widzimy najwyższą górę Afryki. Już za tydzień jak wszystko dobrze pójdzie będzie nasza. Udaje nam się też zobaczyć bardzo rzadkie zjawisko jakim jest widmo z Brokeny. Powoli na szczyt wchodzi pozostali turyści, także zaczyna robić się dość tłoczno. Zrobiwszy zdjęcia i nasyciwszy się w pełni widokami, schodzimy w dół. Dopiero teraz, gdy zrobiło się jasno widzimy jaki szmat drogi pokonaliśmy tej nocy. Po trzech godzinach docieram do Saddle Hut, tam spotykam Oła, który z niewesołą miną wyjaśnia swoje problemy z wysokością. Widać że jest mocno wkurzony na to co się stało, zwłaszcza że w perspektywie jest jeszcze prawie sześćtysięczne Kili. Tymczasem przychodzą chłopaki, zatem pakujemy się i rozpoczynamy wędrówkę powrotną do Momela Gate - 3000 m w pionie na dół w 4 godziny!!! Jak na jeden dzień to całkiem konkretna wyrępa. Nic więc dziwnego, że wieczorem idziemy na konkretny posiłek do hinduskiej knajpy a potem na zasłużony odpoczynek w Meru Inn.



Arusha - Machame - Kilimandżaro (Uhuru Peak 5896 mnpm) - Mweka - Arusha

Cały następny dzień odpoczywamy i włączymy się po Arushy. Mamy dość czasu aby wysłać pocztówki, posiedzieć na necie (1000 TS/1h), napić się piwa i kupić przeróżne pamiątki na bazarze. Głównie są to drewniane figurki zwierząt, maski, koraliki. Rano pakujemy się do busa, wraz z naszą grupą, która będzie naszym „ojcem i matką” przez 6 dni. Są to: przewodnik - Severine, asystent przewodnika - Hashimo, kucharz - Gibson i tragarze - George i Edwin. W takim oto składzie będziemy zdobywać Kilimandżaro.



Shira Camp

Dojeżdżamy do Machame gate, gdzie następuje załatwienie wszelkich formalności związanych z wejściem do parku, oraz zapakowanie rzeczy, które będą nam potrzebne podczas trekkingu, czyli dwóch namiotów (jeden dla nas, drugi dla porterów i przewodnika), oraz jedzenia. Wszystkie nasze rzeczy osobiste znów jako nieliczni niesiemy sami. W końcu ruszamy. W tym dniu droga biegnie przez deszczowy las, który dosłownie jest deszczowy. Przedzieramy się przez niesamowite wprost błoto, trzeba przy tym szalenie uważać, żeby się nie poślizgnąć i nie wyglebić w nie. Bardzo przydają się kijki teleskopowe. Mimo wszystko idzie się całkiem dobrze i dość szybko, po drodze mijamy turystów chyba z całego świata. Mój podziw wzbudzają tragarze, którzy dźwigają olbrzymie wory i baniaki na... własnej głowie. Po trzech godzinach jako jeden z pierwszych docieram do Machame Camp (3100 mnpm), z którego po raz pierwszy z bliska widać Kili.



Giant senecio kilimanjari

Po chwili dociera reszta naszej grupy, a za nią inni, którzy tego samego dnia co my zaczęli trekking. Powoli cała polana zaczyna zapełniać się stawianymi namiotami. Wrzucamy do naszego namiotu karimaty, śpiwory i plecaki, po czym przenosimy się do sąsiedniego, w którym już czeka na nas gorąca herbata i popcorn. Podczas gdy my wymieniamy się naszymi spostrzeżeniami z pierwszego dnia wyprawy zając popcorn, to nasi chłopcy, pod czujnym okiem Gibsona, gotują w tym czasie obiad. Idzie im to niezwykle sprawnie, widać że mają spore doświadczenie. Nie mogliśmy wyjść z podziwu dla nich jak przez te 6 dni ani razu nie powtórzyli się z potrawami, codziennie serwując nam coś innego. Za każdym razem jedzenie było przepyszne, składało się z zupy, drugiego dania i na deser owoców. Nic dziwnego, że nie oszczędziliśmy Gibsonowi



pochwał, tym bardziej że wszystko było przygotowywane w naprawdę spartańskich warunkach. Wieczorem następuje odprawa i omówienie tego co nas czeka jutro, po czym wraz z nastaniem ciemności, czyli koło godziny 19:00, idziemy spać.



Kilimandżaro

W drugim dniu, wyruszamy po śniadaniu do drugiego obozu - Shira Camp (3800 mnpm). Po drodze poznajemy dwie fajne Szwajcarki: Cornelię i Sonię, z którymi wspólnie spędzimy jeszcze 3 dni w Zanzibarze. Shira Camp jak sama nazwa wskazuje jest położony na Shira plateau, które zajmuje olbrzymią przestrzeń. Wieczorem wspaniale prezentuje się Kibo oświetlone na czerwono w promieniach zachodzącego słońca. Choć wysokość już całkiem spora, to czujemy się świetnie, aklimatyzacja z Mt. Meru działa bez zarzutu. Apetyt nam dopisuje, ze spaniem też nie mamy problemów. W nocy robi się już dość chłodno i lekko zaczyna hulać wiatr, także bardzo miło leży nam się w naszych ciepłych śpiwórkach. W dodatku Krzychu z Bartem i Olem usypiają mnie swoją informatyczną rozmową, z której niewiele kumam (wszyscy trzej są programistami).

Na trzeci dzień pogoda lekko się załamuje. Na przemian pada deszcz, grad i miejscami śnieg. W tym dniu osiągamy w najwyższym punkcie wysokość 4600 mnpm. Dopiero przy zejściu do następnego obozowiska pogoda się zdecydowanie poprawia i wychodzi słońce. Jesteśmy w Barranco Camp (3950 mnpm), położonym u stóp Barranco Wall. Moim zdaniem to najładniej położony obóz. Przepływa przez niego strumień spływający z lodowca, a dookoła rośnie fantastyczna roślinność, z niesamowitymi wprost drzewami giant senecio kilimanjari.



Barafu Camp

Tego dnia jesteśmy pierwszymi białymi, ostro gnaliśmy, praktycznie bez żadnych przerw także pięciogodzinną trasę do Barranco Camp zrobiliśmy w trzy godziny. Suszymy przemoczone rzeczy, jemy obiad, karmimy ptactwo, które bezczelnie pcha nam się do talerzy i gaworzymy ze Szwajcarkami. W nocy znów chłopaki usypiają mnie swoimi informatycznymi szyframi.

W czwartym dniu wspinamy się na Barranco Wall, poczym schodzimy do ostatniego miejsca, z którego można i trzeba nabrać wody. Wszystko dlatego że położony na wysokości 4600 mnpm Barafu Camp jest suchym obozem i jest zaopatrywany w wodę wniesioną przez tragarzy, bądź turystów. Zanim jednak osiągamy Barafu Camp wspinamy się długą i monotonną ścieżką pośród sypanego piargu. Wreszcie jesteśmy. Najwyższy wierzchołek Kili - Kibo jest tuż tuż. Z drugiej strony wspaniale prezentuje się



inny szczyt Kili - Mawenzi. Mimo że jesteśmy już bardzo wysoko jest ciepło - wspaniale świeci słońce na bezchmurnym niebie. Na obiad dostajemy pyszną zupę jarzynową i spaghetti bolonese - rewelacyjne - Gibson jesteś najlepszym kucharzem jakiego znam!!!



Uhuru Peak 5895 mnpm

W nocy jakoś nie bardzo mogę zasnąć - chyba trochę daje mi popalić wysokość. O północy mamy pobudkę, na śniadanie dostajemy herbatę i ciastka. Trochę czuję się niepewnie, nie wiem czy z niewyspania, czy na skutek wysokości, ale najpewniej z obu powodów. Nie mniej sprężam się i startujemy. Wychodzimy jako ostatni zespół na szczyt, z racji tego że jak powiedział nasz przewodnik - jesteśmy silni i mamy dobre tempo. Ale najpierw wszyscy chwytny się za ręce, po czym Severin w swahili wypowiada jakąś mantrę, bądź jemu tylko znane zaklęcie, które ma zdecydować o powodzeniu naszej akcji. W końcu każdy sposób jest dobry na osiągnięcie sukcesu. Przy świetle czołówek, mając w plecakach tylko butelkę z wodą, systematycznie pniemy się w górę. Zaczynamy doganiać pierwszych maruderów, którzy wyszli godzinę przed nami. Kilku przegranych z własnym organizmem i ledwo żywych osób schodzi podtrzymywanych przez przewodników. Tymczasem nam idzie się coraz lepiej, zwłaszcza że moje wszelkie dolegliwości minęły. Po 4,5 godzinach osiągamy Stella Point (5745 mnpm). Nasza trójka (bez Ola, który tradycyjnie zaczął mieć problemy z wysokością) jako pierwsza o 6:03 czasu lokalnego dociera na szczyt - Uhuru Peak (5895 mnpm).



Lodowiec

Robimy zdjęcia przy tablicy oznajmiającej, że stoimy na dachu Afryki. Jest zimno (woda w butelce zamarza) do tego stopnia, że z trudnością robię zdjęcia (palce zamarzają). Docierają na szczyt pozostałe ekipy i Olo, który mimo problemów z pawiami dzielnie i z wielką determinacją parł naprzód. Tak więc zdobyliśmy Kilimandżaro w komplecie - realizując tym samym główny cel naszej afrykańskiej przygody.

W międzyczasie wschodzi słońce i robi się trochę cieplej. Podziwiając jedyny w Afryce lodowiec zaczynamy schodzić na dół. Po dwóch godzinach jesteśmy z powrotem w Barafu Camp. Tam dostajemy gorącą zupę grzybową, herbatę i uścisk dłoni od całego zespołu. Nasi czarni znajomi cieszą się tak samo jak my ze zdobycia Kili. To również częściowo ich zasługa a zarazem dobra reklama dla całego zespołu, który za miesiąc wyruszy znowu z kolejną grupą potencjalnych zdobywców Uhuru. Jeszcze tego samego dnia pakujemy się i schodzimy na noc do Mweka Camp (3100 mnpm). Po południu jemy ostatni obiad i umawiamy się wszyscy na pożegnalną imprezę w Arushy, na którą zapraszamy całą czwórkę która dla nas pracowała.





Kibo

Wręczamy też napiwki: 60 USD dla przewodnika, po 35 USD dla asystenta i kucharza oraz po 25 USD dla tragarzy. Napiwki, choć tak się nazywają, są w rzeczywistości praktycznie jedynym wynagrodzeniem jakie otrzymują tragarze, kucharz i chyba przewodnik. Ponieważ byliśmy bardzo zadowoleni i wręcz pełni podziwu nad profesjonalizmem całego zespołu - daliśmy trochę większą zapłatę niż opisywał to przewodnik.



Nasz team

W szóstym dniu schodzimy do Mweka Gates, gdzie dostajemy certyfikaty potwierdzające wejście na Kilimandżaro. Czekać na nasz powrotny mikrobus testujemy bardzo lokalne bananowe piwo, które mniej więcej wyglądem i smakiem przypomina pszeniczne piwo. W końcu przez Moshi wracamy do Arushy. Wieczorem zgodnie z umową idziemy do knajpy, gdzie grając w bilard i pochłaniając pyszne afrykańskie piwa (polecam Tuskera) relaksujemy się do późna w nocy.

Arusha - Maniara National Park - Ngorongoro National Park - Arusha

Rankiem pakujemy się do jeepa i wyruszamy na dwudniowe safari. Jedziemy nową drogą, która docelowo ma dojść aż do Parku Ngorongoro (brakuje jeszcze kilkudziesięciu kilometrów). Jak na warunki afrykańskie droga jest budowana z pełnym profesjonalizmem. Podziwiając potężne baobaby dojeżdżamy do obozu położonego w bezpośrednim sąsiedztwie Maniara National Park. Tam zostawiamy nasze rzeczy i wjeżdżamy do parku. Ten mały park narodowy, położony jest nad słonym jeziorem, do którego dopływa rzeka. Żyją tutaj żyrafy, słonie, hipopotamy, flamingi, zebry, małpy, antylopy, guźce i różne dzikie i drapieżne koty, których jednak nie udało nam się dojrzeć.

Nasz kierowca przewodnik, opowiada nam dużo ciekawych rzeczy o życiu i zwyczajach zwierzaków. Najdłużej podglądamy wylegujące się w wodzie hipopotamy, oraz stado słoni, które wręcz ociera się o naszego jeepa. Na wieczór wracamy do naszego obozu i po kolacji idziemy spać. O 6:00 rano pobudka, potem śniadanie i jedziemy do najbardziej znanego (wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO) parku - Ngorongoro. Jest on położony w obrębie potężnego wulkanu, którego krater zamieszkują olbrzymie stada zwierząt. Jeżdżąc po parku obserwuje się setki zebra i gnu. Robi to niesamowite wrażenie.



W dodatku całą okolice zamieszkują Masajowie. Jedną z takich wiosek odwiedzamy, zapłaciwszy uprzednio po 10 000 TS. Zwiedzamy ich prymitywne chaty, oglądamy ich taniec i słuchamy śpiewu.



Lew

W końcu wjeżdżamy do wnętrza krateru. Po raz pierwszy mamy możliwość zobaczenia hien, szakali oraz afrykańskie strusie. Udaje nam się też dostrzec leniwie wygrzewającego się lwa. W południe zatrzymujemy się na lunch. Przewodnik ostrzega nas abyśmy nie wychodzili z jeepa z jedzeniem, gdyż fruujące nad nami drapieżne ptaki mogą nas zaatakować i pozbawić posiłku. Mimo tych ostrzeżeń postanawiam sprawdzić w dosłownym znaczeniu sokoli wzrok tych ptaków. Biorę smażonego kurczaka do ręki i wychodzę z auta. I rzeczywiście w mgnieniu oka widzę nad sobą pikującego prosto na mnie jastrzębia. Na szczęście udaje mi się umknąć z powrotem do jeepa. Więcej już nie eksperymentuję z tymi krwiożerczymi ptaszyskami.



Masaj

Po lunchu znowu jeździmy w poszukiwaniu zwierząt. Jednak upał i w pewnym sensie monotonia podziały na mnie dość usypiająco także ostatnie półtora godziny smacznie sobie drzemałem wewnątrz samochodu. Późnym popołudniem wracamy do obozu a stamtąd do Arushy, gdzie mamy ostatni nocleg w Hotelu Meru Inn.

Arusha - Dar es Salaam - Zanzibar (Stone Town - Jambiani) - Dar es Salaam - Arusha - Nairobi - Londyn - Warszawa - Katowice

Jeszcze wieczorem kupiliśmy bilety na autobus do Dar es Salaam. I tu popełniliśmy drugi błąd. Zamiast tak jak jest napisane w przewodniku kupić je u licencjonowanego przewoźnika jak np. Dar Expres, bądź Scandinavia Expres, poszliśmy na łatwiznę i kupiliśmy na dworcu przy naszym hotelu. Nie dość, że przepłaciliśmy (12 500 TS zamiast 10 000 TS) to jeszcze jechaliśmy niewygodnym busem, który co chwilę stawał zabierając coraz to więcej pasażerów. Tak więc zamiast 8 godzin w komfortowych warunkach jechaliśmy stłoczeni jak sardynki 11 godzin. W końcu znaleźliśmy się w stolicy Tanzanii, skąd taksówką po kosmicznych targach za 5 USD pojechaliśmy do Hotelu Jambo (14 USD double room ze śniadaniem). I tu zrobiliśmy kolejny błąd pytając o bilety na prom w



hotelu. Recepcjonista przysłał po nas swojego znajomego z jakiegoś biura pośrednictwa i znów zamiast kupić w kasach bezpośrednio u przewoźnika kupiliśmy w owym biurze płacąc 20 USD z podatkiem, ale zamiast płynąć Flying Horsem (3 godziny) dostaliśmy Azizę (5 godzin), która na dodatek była o 5 USD tańsza niż cena widniejąca na naszych biletach. Jednak o tym przekonaliśmy się dopiero nazajutrz.



Zebry

Wieczorkiem wbiliśmy się do bardzo fajnej knajpy z żarciem, a potem udali w poszukiwaniu piwa, co nie było łatwe, gdyż ta część Tanzanii jest w przeważającej części muzulmańska. W końcu udało się, także resztę wieczoru spędziliśmy na browarku.

Nazajutrz przeszliśmy się do British Airways aby potwierdzić bilety powrotne, trochę powąłęsaliśmy się po centrum, po czym wróciliśmy do hotelu, skąd zabrał nas do portu taksówką pracownik biura, w którym załatwialiśmy bilety na prom. Na nabrzeżu weszliśmy jakąś strasznie boczną bramką na prom, po drodze cały czas nagabywani przez typa, który chciał nas skroić na 10 000 TS tytułem opłaty portowej. Oczywiście była to totalna bzdura, także szybko przemknęliśmy do środka promu, gdzie nas skierowano do pierwszej klasy. Niestety cały prom nie błyszczał nowością. W dodatku przez 5 godzin rejsu leciały strasznie głupie filmy, także nie myśląc wiele poszedłem spać. W końcu dopłynęliśmy do wyspy, do miasta Stone Town. Tutaj przeszliśmy odprawę paszportową, z racji tego że Zanzibar stanowi jakby odrębną autonomicznie część Tanzanii, posiadając nawet swojego własnego prezydenta.

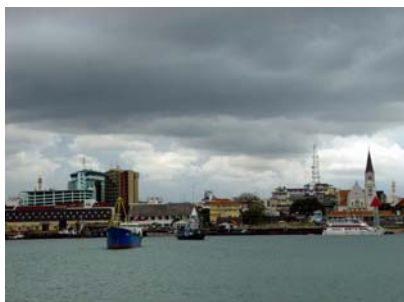


Hipopotamy

Po załatwieniu formalności wychodzimy z portu, gdzie już czekają na nas Cornelia z Sonią, z którymi zesemesowaliśmy się i umówili na Zanzibarze. Dziewczyny znalazły jakieś tanie noclegi (6 USD na głowę), także zabraliśmy się z nimi. Wieczorem też razem wybraliśmy się do miejsca gdzie skupia się całe życie kulinarne wyspy. Kilkanaście straganów z bardzo tanimi owocami morza, które wprost z rusztu kupuje się i zjada na miejscu. Pyszności. Po sutym posiłku wspólnie załatwiamy dwudniowy pobyt w jednym z zanzibarskich kurortów - Jambiani (25 USD za double room). Potem oczywiście udajemy się do pobliskiej knajpy na piwo, oczywiście Tusker. Rankiem jedziemy do naszego kurortu. Jest już początek września a co za tym idzie martwy sezon, co zresztą od razu widać. Oprócz tubylców nie ma praktycznie tutaj żadnych turystów. Kwaterujemy się w Shehe Bungalow, które położone są wprost na boskiej plaży z bardzo drobnym, białym piaskiem i rosnącymi wokoło palmami kokosowymi. Niewiele się namyślając przebieramy się w kąpielówki i wskakujemy do ciepłego Oceanu Indyjskiego. Niestety pływać za bardzo się nie da, gdyż jest stosunkowo płytko. Wracając do naszych bungalowów



zostajemy zagadnięci przez Mohameda, który oferuje nam snorkling czyli nurkowanie z maską i fajką na rafie koralowej. Ponieważ oferta wydaje się atrakcyjna umawiamy się z nim po lunchu.



Dar es Salaam

I rzeczywiście wszystko jest tak jak nam to przedstawił. Płyniemy tubylczą żaglówką, która zbudowana jest z jednego pnia drzewa, a napędzana jest ręcznie szytym żaglem z worków po cukrze. Pełna prowizorka a zarazem pełen profesjonalizm bo łódka płynie jak rasowy katamaran. Po jakiś 40 minutach rzucamy kotwicę, zakładamy maski i nurkujemy. Przyznam się szczerze, że rafa mnie trochę rozczarowała. Parę lat temu miałem przyjemność nurkować na rafie koralowej na Morzu Czerwonym w Jordanii. Było tam mnóstwo ryb, a i sama rafa była dużo ładniejsza od tej. Z ciekawostek, które teraz zobaczyłem to wąż morski i wspaniałe kolorowe rozgwiazdy. Po godzinie pakujemy się z powrotem do naszego jachtu, gdzie zostajemy poczęstowani świeżutkimi orzechami kokosowymi. Po takim moczeniu się w słonej wodzie smakują wyśmienicie.



Pyszne owoce morza

Wieczorem idziemy wszyscy plażą w poszukiwaniu jakiejś miłej knajpeczki. Nie jest to łatwe, gdyż jak wspominałem jest już koniec sezonu. W końcu wbijamy się do pierwszej lepszej i tam zostajemy do późnej nocy. Na drugi dzień pakujemy się do minibusa i jedziemy do Kizimkazi, gdzie mamy w planach podglądanie delfinów. Jednak już na samym początku łapiemy gumę. Przy naszym aucie gromadzi się chyba pół wioski przy czym każdy z tubylców uważa się za niezłego fachowca. Po godzinie udaje się w końcu zmienić koło, co jak na warunki afrykańskie jest tempem zawrotnym. W Kimkazi dostajemy maski i płetwy po czym wsiadamy do motorówki i wypływamy na pełne morze, gdzie fale dochodzą do kilku metrów i zaczyna nieźle bujać naszą łajbą. Trzymałem się dzielnie ze 20 min, po czym dałem za wygraną i zwróciłem za burtę całe śniadanie. Delfiny owszem widziałem, ale kątem oka w przerwie między pawiami. Zupełnie bezsensowna wycieczka i głupio wydane 20 USD. Nareszcie wracamy do Jambiani. Tam umawiamy się z Mohamedem na kolację u niego w domu. Za 3000 TZ dostajemy pyszne ryby, ośmiornice, frytki i naleśniki. Dla nas to nie wydatek, a biedna rodzina Mohameda dostanie skromny zastrzyk finansowy.





Ognisko na plaży

W Jambiani postanawiamy zostać dzień dłużej i po krótkich negocjacjach w recepcji płacimy za domek o 5 USD mniej niż pierwotnie. Ostatni dzień pobytu to pełen relaks, między innymi decyduję się na masaż, potem nurkowanie na rafie a wieczorem ognisko na plaży i świeże przepyszne rybki prosto z rusztu.



Jambiani

I tak nam zleciały szybko te 4 dni w Jambiani. Teraz w ciągu 2 dni musimy szybko wrócić do Nairobi. Nocnym promem Flying Horse o 21:00 wypływamy z Zanzibaru. Na nim śpimy i o 6:00 rano jesteśmy w Dar es Salaam, skąd taksówką jedziemy na oddalony o 8 km od centrum dworzec autobusowy. Tam o mało nie pobito się o nas, gdyż każdy z naganiaczy chciał nas wepchnąć do swojego autobusu. Jednak nie z nami takie numery. Sami znaleźliśmy autobus Dar Expres i płacąc 10 000 TS w komfortowych warunkach (dostaliśmy nawet w cenie biletu po coli) w 9 godzin dojechaliśmy do Arushy. W Arushy znowu ta sama sytuacja. Setki przyjaciół i każdy ma nam coś do zaoferowania. Ale tutaj to prawie jak w domu, w końcu przez 2 tygodnie to był nasz punkt wypadowy na wszystkie wyprawy. Piechotą dochodzimy do Meru Inn, gdzie dostajemy pokój za 3 USD od osoby. Na drugi dzień bardzo wcześnie rano wygrana w marynarza para Bartek i Krzychu idą załatwić bilety do Nairobi. Oczywiście znów chciano nas oszukać proponując cenę 20 USD za głowę ale bez szans. Przecież jesteśmy już miesiąc w Afryce i nie damy się już więcej robić w konia. Za 30 USD nie tylko dostajemy 3 bilety ale również transport bezpośrednio na lotnisko w Nairobi. Już bez żadnych przygód około 14:00 wysiadamy na lotnisku, gdzie wydajemy resztę naszych pieniędzy w restauracji. O 22:25 żegnamy czarny ląd, z myślą, że jeszcze tu kiedyś wrócimy...



W Stone Town



Na koniec kilka rad i sprawdzonych patentów:

- Tradycyjnie już jedynym środkiem płatniczym jaki zabraliśmy były dolary.
- Wizę kenijską w cenie 50 USD otrzymuje się na lotnisku, a tanzańską w cenie 20 USD na granicy.
- Język angielski jest powszechnie znany i używany (nawet przez niektórych Masajów).
- Bardzo dobre są oryginalne przewodniki LP Tanzania oraz Kenya. Polskie tłumaczenie Pascala Kenia i Tanzania dotyczy praktycznie tylko Kenii.
- Należy być czujnym niezmiernie i zawsze się targować, gdyż w Afryce KAŻDY zawyża cenę w stosunku do białego i chce go oszukać na każdym kroku. Jedynie w restauracjach ceny w menu są prawdziwe i nie podlegają negocjacjom.
- Tych tubylców, których poznaliśmy bliżej bardzo polubiliśmy, my zresztą też spotkaliśmy się z dużą życzliwością z ich strony.
- Podczas naszego pobytu stosowaliśmy zasadę, że po zmroku ze względów bezpieczeństwa nie wychodzimy z hotelu. Jednak były odstępstwa od tej reguły. W Zanzibarze i Dar es Salaam czuliśmy się bardzo pewnie i nie było problemu z nocnymi spacerami. W Arushy z kolei do nocnych knajp jeździliśmy taksówką (1500 TS za kurs).
- Nie warto na własną rękę organizować safari, lepiej skorzystać z doświadczenia wyspecjalizowanych biur zajmujących się organizowaniem takich imprez.
- Nie mieliśmy żadnych problemów zdrowotnych, systematycznie łykaliśmy lariam, klimat był zbliżony do Europejskiego a temperatura powietrza była w przedziale 25 - 33° C (poza górami)
- Byłem przyjemnie zdziwiony tym, że nie dokuczały nam specjalnie żadne insekty, spodziewałem się dużo więcej komarów, much i innych paskudztw.
- Należy przyzwyczać się do tego, że życie w Afryce płynie swoim specyficznym, bardzo wolnym tempem. Pole pole w języku swahili oznacza wolno bądź powoli i jest powtarzane na każdym kroku. Nawet w restauracjach, w których w ogóle nie ma ludzi czeka się na posiłek co najmniej pół godziny.

Opowiadanie nagrodzone kubkiem Trampa :)



Nasz kontrakt z Victoria Expeditions

